



ZOFIA KUCÓWNA **impulsy**

Arivederci Roma

Rządzi mną jakaś okropna przekora. Teraz, kiedy mogę w każdej chwili kupić bilet samolotowy, wyjąć z szuflady paszport, włożyć go do kieszeni i wyjechać w świat, gdzie oczy poniosą – najmilej, najciekawiej, najradośniej podróżuje mi się po Polsce i odkrywa w niej nowe, nieznane miejsca.

W zaprzeszie lata, kiedy trzeba było pisać podania do biur paszportowych, odwoływać się

Peszyły mnie jedynie opowiadania rodaków bywałych już w świecie, że podczas takich podróży męczyło ich dojmujące uczucie głodu. Wykupione z tak zwanego przydziału dewizy, nie wystarczały na jakie takie bytowanie. Podziwiając Colosseum, słuchali równocześnie marsza granego przez własne kiszki. Stojąc z głową zadartą w kaplicy Sykstyńskiej, marzyli o krwawym befsztyku i zimnym piwie.

przedwiecznego, zachodzącego słońca rozmazała kontury Pałacu Dożów, bazyliki, Campinelli. Raptem poczułam straszny ssący głód. Zaskrzeczała banalna rzeczywistość. Mój w zachwycie szybujący duch z rumorem „sięgnął bruku”. Według relacji bliskiej mi osoby, otarłam z oczu łzy i bardzo rzeczowym głosem oświadczyłam:

– Niestety, widzę tak, jak jem. Mowy nie ma o puszkach! Jestem we Włoszech, chcę jeść po włosku.

Po trzech tygodniach włoskiego życia, w połowie drogi między Florencją a Rzymem, na tarasie przydrożnej gospody stojącej na szczycie pagórka, z którego rozciągał się widok na całą kalabryjską dolinę, stwierdziliśmy, że w naszych portfelach mamy tyle tylko pieniędzy, żeby wrócić do Polski.

Decyzja odwrotu zapadła w Asyżu, nieomal u progu wymarzonego Rzymu. Podczas powrotu do Polski przez całą drogę śpiewałam „Arivederci Roma”. Lecz żalu we mnie nie było. To, co się zdarzyło, było tak piękne i tak syjące, że starczyło na długie, długie lata. Rzym natomiast niezmiennie istnieje w mojej pamięci i w obrazkach rzucanych przez epidiaskop na szkolną ścianę.

Felieton Zofii Kucówny jest stałą pozycją w naszym miesięczniku.

Podziwiając Colosseum, słuchali marsza granego przez własne kiszki, w kaplicy Sykstyńskiej marzyli o krwawym befsztyku i zimnym piwie

w razie odmowy do wysokich instancji, stać w kolejkach w zatłoczonych korytarzach, odpowiadać na idiotyczne pytania urzędników, starać się o pozwolenie na zakup obcej waluty, o! wtedy właśnie chciało mi się wyjeżdżać w świat, poznawać obce strony, oglądać cudze krajobrazy.

Pierwszą „wystaną” w kolejkach podróży była na początku lat sześćdziesiątych wycieczka samochodowa przez Austrię do Włoch – do Rzymu. W moim życiu był już króciutki Londyn i króciutki Paryż, ale to były wyjazdy służbowe, zespołowe, na jakieś międzynarodowe festiwale teatralne.

Przejazd przez Czechosłowację minął gładko. Jadłam z puszek prasowaną wołowinę, ze słoików faszerowane gołąbki w sosie pomidorowym i „wszystko dobrze szło”, jak mawiał nasz wieszcz, Juliusz Słowacki.

Problem zaczął się po przekroczeniu granicy włoskiej. Zapachniało gorzkimi ziołami, z piniowych lasów wysnuła się słodycz syropów, nozdrza drażnił zapach anyżku, włoskich koprów, czerwonej cebuli, woń smażonej oliwy ostrzyła apetyt.

W Wenecji, na placu Świętego Marka nastąpił przełom. Stałam jak słup soli z odjętą mową, wolą i rozumem. Lazur, złoto, gołębia szarość, beż. Miękkość